Rozmaitości

Dnia 29. Sierpnia Ner. 35. Roku 1840.

WALKA ROSSYJAN Z CZERKASAMI,

przez naocznego świadka opisana.

Wyraz *Sobranie* znaczy u Rossyjan zgromadzenie górali wzdłuż linii Kubanu, dla naradzenia się: któremi miejscami najsnadniéj napaść, w którym czasie wyprawę przedsięwziąć i którą puścić się drogą. Skoro stowarzyszeni na te trzy punkty się zgodzą, natenczas dają sobie słowo trzymania się do upadłego, a któryto akt krwawą przysięgą nazywają. Ci, którzy z tego sprzymierzonego orszaku przy życiu pozostaną, obowiązani są wszelkiémi sposobami odbić od nieprzyjaciół ciała poległych, i uwieźć je do ojczyzny; za co w nagrodę ich pozostały majątek w posiadłość biorą. Gdy już wszystkie środki do wyprawy są przygotowane, wtedy jak krwawe tygrysy lub wściekłe hyjeny rzucają się na nieszczęśliwych, których za cel sobie obiorą, a wyciąwszy w pień i zrabowawszy wszystko, z jeńcami i zdobyczą umykają piorunem w rodzinne góry.

Spieniony i bystrym prądem płynący Kuban, (mówi nasz naoczny świadek Rossyjanin), toczy swe nurty pomiędzy ogromnémi skałami w północnym kierunku przez kraj hołdujących nam Karaczajów. Plemię to mieszka na zachodniéj stronie Elbrusu i zostało w r. 1828 przez jenerała Emanuela pod rossyjską władzę podbite. Na wysokich, stromych, po obu stronach nieprzebytych skałach, zaledwo znajdziesz miejsce dla wązkiéj ścieżki, a ku obu brzegom ciągnie się po jednéj i drugiéj stronie kilka wąwozów, które chociażby nawet słabo były obsadzone, mogą nawet znacznéj ilości wojska niepodobną uczynić przeprawę. Niemal na 50 wiorst od kamiennego mostu, wpada Kuban w uśmiéchającą się dolinę, gdzie się cokolwiek rozszérzać i po bystrym pędzie wypoczywać zdaje. Przyjmuje on w tém miejscu cztéry rzéki, Tiberdę, wielki i mały Zeleńczuk, tudzież Urup w swoje łożysko, zwraca się prawie na 100 wiorst od warowni Chumary, w północno-zachodnią stronę, formuje kilka wysp u twierdzy *Procznoj-okop* na południowym brzegu rzéki, gdzie Czerkasom niebezpieczny jenerał Sass, rodem Liwończyk, jak orzeł na wysokiéj skale się gnieździ; poczém koło Stanicy Temiszbeg zwraca bieg swój zupełnie ku Zachodowi, a nakoniec w Azowskie morze się rzuca. Jednego razu zapowiedziano takowe *sobranie*, a wzdłuż całego kubańskiego kordonu już były porozsyłane na piśmie po wszystkich stacyjach doniesienia, aby na baczności się miano. Wysłańcy jenerała Sassa, którzy z niebezpieczeństwem życia do *sobrania* wkradać się byli obowiązani, przybywali prawie co godzina z wiadomościami do Wozniesieńska, gdzie podówczas jenerał się znajdował. Zgromadzenia Czerkasów dla naradzenia się o nastąpić mających napadach, nie odbywają się jak tylko w nocy; każdą razą odmieniają miejsce, aby ich w górach nie napadnięto i nie zniesiono. Było ich tym razem dwa tysiące, powiększéj części Abasechów, Kabardynów i Szabsuchów, którzy za podbiciem wielkiego i małego Kabardahu, w zachodnią stronę się schronili. Nakoniec doniesiono nam, iż Czerkasowie zamyślili uderzyć na Stanicę, to jest: na

włość Kozaków, Batałpaszyńsk zwaną, która o dwadzieścia i pięć wiorst od Chumary leży. Z dwóch tysięcy Czerkasów, tysiąc dwiestu złożyło krwawą przysięgę; książęta poobmywali ciepłą wodą swe konie, wzięli najlepszą broń i przywdziali na siebie świetne szaty. Wszyscy wyruszyć mieli następnéj nocy, pod dowództwem osiwiałego w wojnie przeciw Rossyi bohatéra Abasechów, Ali Charzysa i jego syna, dwóch najgłówniejszych nieprzyjaciół rossyjskich. Dla zabieżenia temu napadowi, jenerał Sass miał tylko dwa sposoby; albo zastąpić im drogę, a wtedy można było mieć nadzieję, że się nie odważą stawić czoła swemu pogromcy, którego szajtanem, diabłem zwali, i że rozprószywszy się, całą wyprawę na pomyślniejszą porę odłożą; albo téż dozwolić im przejścia, i z tyłu na nich uderzyć. Rada w radę, nakoniec na tém ostatniém stanęło. W skutek tego, jenerał Sass napisał uprzednio do pułkownika Hahna, który w okolicy Stanicy miał pod dowództwem swojém dwa batalijony piechoty i pięćset kozaków, aby się przyzwoicie z tą hordą spotkał, donosząc mu przytém, że sam rusza za nimi w pogoń i że na piérwszy odgłos wrzawy, przybycie swe w tyle nieprzyjaciół wystrzałem z działa oznajmi. Pułkownik Hahn miał tymczasem wezwać w pomoc Karaczajów, i razem z nimi jedyną do ucieczki nieprzyjaciołom zastąpić drogę.

Zaraz po zachodzie słońca, jenerał Sass wziąwszy z sobą 800 kozaków, dwie kompanije strzelców i sześć lekkich dział, puścił się ku górom, by aż do Kubanu ciągle mieć na oku nieprzyjaciela. Musieliśmy dostawać się prawie aż na najwyższy punkt kraju, gdzie z gór pośród skalistych brył wytryska Łaba; nakoniec przybyliśmy na miejsce, w którém horda przeprawiła się przez tę rzékę. Po wytłoczonéj, rzadkiéj wysokości, bujnéj trawie i świéżo kopytami skopanéj ziemi, spostrzegliśmy przed sobą széroki, jakby piękny gościniec wiejski, ubity ślad Czerkasów. Przedziérali się oni pośród najbujniejszéj, najbogatszéj natury, przez góry, doliny, trzęsawiska i rzéki, przez lasy i wertepy; my szli w pogoń za nimi przez trzy dni i dwie nocy. Po zgliszczach, przy których horda koczowała, poznać było można, żeśmy się do nich co raz bardziéj zbliżali; ostatniéj nocy zastaliśmy jeszcze tlejące ogniska. Aż dotąd zdawało się, iż Czerkasowie wolnym krokiem bez obawy i nieużywając żadnych środków przezorności, posuwali się naprzód; chodziło im o to, aby do powrotu zachować krzepkość swych koni. Pod tym względem mieli Rossyjanie wielką przewagę; na Kubanie stało dla nich w pogotowiu pięćset świéżych koni kozackich. Aż oto nagle zaczęły ustawać wszelkie znaki koczowiska. Jenerał Sass zamyślił się nad tym wypadkiem i kazał jeszcze z większym pośpiechem ruszyć naprzód. Piechota z jucznémi końmi dla pospiesznego marszu nie mogąc zdążyć za nami, już dawno pozostała w tyle. Wiadomo nam było, iż Czerkasowie stanąwszy na zamierzonéem miejscu, nie zaraz na nie uderzają, ale starają się zawsze około północy podkraść w bliż Stanicy, poczém dawszy wypoczynek przez noc koniom, skoro świt z strasznym wrzaskiem na osadę wpadają. Z tego powodu dostawszy się niedaleko Batałpaszyńska, z jak największą ostrożnością zbliżaliśmy się do Kubanu. Ale jakież nie było nasze zdziwienie, gdyśmy ślad nagle w prawą stronę zwrócony ujrzeli, i że tenże prosto do rzéki prowadził. Już ani wątpić było można, iż Czerkasowie o naszéj pogoni zawiadomieni, inną się drogą puścili i na innéem miejscu przez Kuban swą przeprawę uskutecznili. Niebawem przybyli do nas kozacy z doniesieniem, iż Czerkasowie około 800 ludzi w jednéj kupie, z chorągwią w ręku, śród dnia białego w oczach Stanicy na drugą stronę przeszli; ze Stanicy dano wprawdzie do nich kilkakrotnie z dział ognia, ale oni tém bynajmniéj nieustraszeni, puścili się żwawym kłusem w głąb kraju, kierunkiem ku łaźniom w Kisłowodzku, na granicy Kabardahu, niemal na trzydzieści wiorst od Pietygorska. Konie nasze już nie mogły iść daléj. Jenerał spuściwszy się zupełnie na pułkownika Hahna, i będąc przekonanym, że im wszelki dalszy postęp przecięto, zamyślił całą przestrzeń aż do kamiennego mostu obsadzić żołniérzem, i czekać aż pokąd się którym z wielu wąwozów w odwrót nie puszczą i sami nam w ręce nie wpadną. Nagle wszystko

ucichło; przez resztę dnia nie słyszeliśmy już żadnego wystrzału, podobnież i noc następna upłynęła spokojnie. Wysłani na zwiady ludzie nasi nie powrócili. Aż oto nagle pędzi do nas co tylko koniowi siły stanie, nasz wierny książę Kabardynów Dżymbulat Ataskukin, ulubieniec jenerała i Mahomet Girej Loof, książę Abadsynów; jak pod jednym tak i pod drugim koń pada. Obadwaj książęta zlani potem i tocząc dzikim wzrokiem, biorą zachmurzonego jenerała na stronę, mówią z nim przez chwilę, a my postrzegamy, iż oko jego gniewem płonąć zaczyna. Nie okazując żadnej zmiany na twarzy, ale jak ściana blady, okręca sobie długi, żółtawy wąs około palca, a nakoniec w znak największéj wściekłości uderza się ręką po biodrze tak mocno, że aż łoskot się rozległ. Ale też wypadek, o którym ci książęta mu donieśli, był istotnie do rozpaczy! Czerkasowie ogarnięci przestrachem, niepojmując ktoby ich tak mocno ścigał, odstępują od swego przedsięwzięcia, nie uderzają na Batałpaszyńsk, ale przeciwnie, nie używszy ani jednéj chwili spoczynku, gonią o sto wiorst daléj, i nie będąc postrzeżeni od pułkownika Hahna, który się tego nie spodziéwał, wpadają pod Kizłowódzkiem na niedbale strzeżoną czatę. Stoczywszy tam małą utarczkę, i zabrawszy pięciu Rossyjan i dwadzieścia koni w zdobyczy, zaraz je naprzód w góry wysłali, a sami spokojnie sobie przez krainę Karaczajów, których również przez niedbalstwo o niczém nie zawiadomiono, do domu powracali. Karaczajowie po polach rozsypani, nie mogli się tak prędko dla zabronienia im przejścia zgromadzić, coby w swoim kraju, w którym tylko wązki jar pomiędzy skały się ciągnie, w pięćdziesiąt albo sto ludzi, bardzo łatwo uczynić byli mogli! Tym sposobem uszła im bezkarnie ich zuchwałość, któryto wypadek tém bardziéj był niebezpieczny, ileże jeszcze większéj śmiałości im nadawał! Udaremnione więc zostały wszystkie trudy, którycheśmy w naszym marszu doznali! Lecz co najgorsza, obawialiśmy się iż na jenerała spadnie wielka odpowiedzialność, gdyż wiedzieliśmy o tém dobrze, iż w Petersburgu mniéj więcéj, przecież jemu samemu winę przypiszą.

W tymże samym czasie dwiestu podległych nam Czerkasów i Nogajców z nami się połączyło. Jenerał Sass stał długo zamyślony na jednem miejscu; nakoniec zwróciwszy się do sprzyjaźnionych z nami Czerkasów zapytał: »Czy nie możnaby jeszcze dognać uciekających?« Czerkasowie naradziwszy się pomiędzy sobą, odrzekli: »Zdaje się, iż Abasechowie bardzo utrudzili swe konie, i przymuszeni są teraz powracać przykrą drogą, na któréj skały, przepaście i spadające z gór strumienie co chwila ich wstrzymują; a zatém niepodobna, ażeby ich konie pospieszyć mogły. Mniemając się zupełnie bezpiecznymi, może nawet bardzo wolnym krokiem wracają. A chociaż prawie o cały dzień drogi już od nas byli oddaleni, jednakże Atashukin był tego zdania, że jeżeli ich już nie dognać, przecież im na inném miejscu drogę przeciąć będzie można; ale dla dopięcia tego zamiaru, wypada jak najspieszniéj puścić się w pogoń.« To rzekłszy, spojrzał na utrudzone konie nasze, i z wątpliwością wstrząsnął głową. »Choćbym nawet tylko z wami dwiestu ich dopędził, przecież im tego bezkarnie nie puszczę«, rzekł jenerał. »Daléj za nimi!« Wtedyto widzieć było trzeba, co znaczy marsz pospieszny pod dowództwem jenerała Sassa, zwłaszcza, gdy o ważną rzecz chodzi! Musieliśmy się w bród przeprawiać przez wyżéj nadmienione rzéki, musieliśmy pociemku przedzierać się przez strome, wzgórzyste ściéżki, i spuszczać się w przepaście, w które konie nasze nieinaczéj, jak tylko zadnią częścią zsunąć się mogły. Ale też za to o godzinie piątéj z-rana już stanęliśmy na miejscu, przez które, jak nas przewodnicy zapewniali, Abasechowie jeżeli już nie przeszli, koniecznie przeprawiać się muszą. Starannie rozpoznawaliśmy obszar w około; z dziką rozkoszą roześmiał się jenerał, skoro żadnego śladu nie odkryto. Trzeba bowiem wiedzieć, że po bujnéj, wysoką trawą okrytéj ziemi, zaraz poznać można, jeżeli wielu ludzi po niéj przechodziło. — Skupiwszy się więc w ciasnym jarze, i ponakrywawszy się pilśniowémi płaszczami, spaliśmy jak zabici prawie aż do godziny dziewiątéj z-rana. Wtedy nas obudzono, gdyż co chwila spodziéwano się

ujrzeć przez góry przeprawiających się nieprzyjaciół. Przed nami wznosił się grzbiet góry, z któréj się do nas spuszczać musieli. Po prawéj i po lewéj stronie były dwa prawie równoległe wąwozy, w których środek góra się zataczała. Razem dano znać, że już nadchodzą, i w okamgnieniu na śnieżnym szczycie góry, ujrzeliśmy czarną smugę, która się jak wąż nad dół ślizgała. Na ten widok każdy z nas poskoczył do konia, pociągnął popręgu, obejrzał strzelbę, spróbował, ażali ostra szabla i spiczasty sztylet lekko się z pochwy dobywa. Abasechowie byli jeszcze niemal o trzy wiorst od nas oddaleni, gdyśmy spostrzegli, że się im coś wydarzyło. Wstrzymywali się bowiem nagle w pochodzie i wahać się zdawali. Atoli wkrótce przewodnik nasz jedném słowem wyrwał nas z niepewności wołając: »Jesteśmy odkryci.« Sokoli wzrok Abasechów wypatrzył nas czatujących w wertepie! Teraz nic innego im nie pozostało, jak tylko albo spuścić się w jeden z wąwozów, i nacierając na nas z boku, umykać, albo téż wprost przez sam środek się przebić. Lecz tu wprzódy nadmienić mi wypada, iż z 800 kozaków konnych tylko trzysta pięćdziesiąt, z trzechset pieszych tylko sześćdziesiąt, a z sześciu dział tylko jedno za jenerałem zdążyło. Wszystka reszta w tyle się pozostała. Wojsko to razem z dwoma set wiernymi Czerkasami, miało stoczyć walkę z nieprzyjacielem liczącym ośmset ludzi, który do rozpaczy był przywiedzionym. Atoli nieprzyjaciela, który niespodzianie jest napadnięty, już na poły za zwyciężonego uważać można, a prócz tego działo w języku czerkaskim tyle co sto ludzi oznacza.

Nim jeszcze Abasechowie się namyślili, już jenerał Sass wydał rozkaz następujący: »Sto kozaków pod dowództwem księcia Gruzyi Majnuka Arbeliana, w połączeniu z dwoma set Czerkasami pod dowództwem Wenerowskiego, nadzorcy spokojnych górali, tudzież majorem Mussa Taganem, rodowitym Czerkasem, mieli ubieżeć wzdłuż wąwozu po prawéj, a pułkownik Roth w 200 innych kozaków po lewéj stronie, sam jenerał zaś z działem i resztą kozakami, z których każdy miał za sobą w tyle piechotnika na swoim koniu, uderzyć miał wprost na nieprzyjaciela. Wszystek ten oddział dla zamaskowania małéj liczby naszéj, ile możności széroką przestrzeń zająć musiał. Po otrzymanym rozkazie, każdy puściwszy cugle pogonił na przeznaczone stanowisko. Byłto niewymownie piękny, chociaż dla Abasechów bardzo nieprzyjemny widok, gdy z małego wertepu nagle trzy oddziały się rozwinęły, które obsaczyć ich usiłowały. Ja byłem przy jenerale, i nie uszliśmy jeszcze połowę drogi, gdy już się Abasechowie nagle na naszych kozaków i sprzymierzonych nam Czerkasów rzucili; w tém zamieszaniu zniknęli nam na chwilę z oka i zaraz dały się słyszéć wystrzały. Myśmy natychmiast zrobili zwrot na prawo, i dopiéro teraz oczom naszym przedstawił się widok w rzadkim sposobie utarczki. Wenerowski i dwaj inni wyprzedzili swych towarzyszy na rączszych koniach. Naprzeciw nim występuje niemal piętnastu Abasechów w kołczugach. Udérzają jedni na drugich, i téjże saméj chwili kłęby dymu zasłaniają ich przed naszemi oczyma. Wreszcie dym się podnosi, z placu potyczki, do którego się coraz bardziéj zbliżamy, wszyscy trzéj wracają, ale pieszo, gdyż pod niémi konie ubito. Arbelian odniósł pięć ran lekkich, a między témi w bok jednę; Wenerowski dziewięć, z których cztéry nieco ważniejsze, jednakże nie były niebezpieczne, a Mussa Tagan nie odniósł ani jednéj! Za uderzeniem sprzymierzonych nam Czerkasów, poszła zaraz piérwsza linija Abasechów w rozsypkę i odsłoniła drugi zastęp, który już zsiadł z koni, i ukląkłszy jedną nogą na ziemi, oparłszy sztućce na cepy, na célu nas trzymał. Postrzegłszy to nasi, zsiedli podobnież co żywo z koni, dopiéro teraz ognia do siebie dawać zaczęto. W téjże chwili jakby wichr burzliwy nadbiegli kapitanowie Baranczejew, Albrand i Roth z kozakami, i po natarczywym odporze Abasechów, do odwrotu ich zmusili. Kozacy powtykawszy za pas swe czapki, — gdyż linijowi kozacy mają ubior do Czerkasów podobny, więc dla rozróżnienia się odsłonili swoje czupryny, które u Czerkasów zwykle są ogolone — puścili się jak zawierucha ze wzgórza na dół, gdzie pozsiadawszy z koni, zajęli w piérwszym szeregu honorowe

dla siebie miejsce. Po prawéj stronie nakształt tarasu spiętrzone były skały na skałach; po lewéj wysokie brzegi Kassautu, który pośród coraz bardziéj zwężającego się wąwozu kręto bieży, a w głębi oddalenia śronem ubiélony swe czoło wznosił olbrzymi Elbrus. Jenerał Sass zajął tymczasem stanowisko na wzgórzu po lewéj stronie, i zatoczywszy tam działo, miotał kartaczami na tylne szeregi Abasechów, przezco przeszkadzał im w dawaniu swoim towarzyszom pomocy. Poniżéj wzgórza dowodził Albrand ustawionym z boku łańcuchem tyralijerów, gdzie się oczom tych, którym ten sposób prowadzenia wojny nie był wiadomy, nadzwyczajny widok przedstawił. Niemal czterdziestu kozaków stało parami naprzeciw równéj prawie ilości Abasechów, gdyż dla większéj liczby w tym wązkim parowie nie było miejsca. Po każdéj salwie rzucają się obiedwie strony w wysoką trawę, nabijają spiesznie karabiny i w tymże czasie posuwają się naprzód, i znowu w górę się podniosłszy, stają najdaléj na trzydzieści kroków naprzeciw sobie. Wtedy zamiast dawania natychmiast ognia, każdy z nich mierzy do swego przeciwnika i do piérwszego wystrzału go pobudza. W ciągu tego podstępu upływa prawie pół minuty. Poczém obiedwie linije w równym czasie dają do siebie ognia; ugodzeni padają na ziemię, a nasi kozacy krzyknąwszy hurra, rzucają się na nieprzyjaciół. Abasechowie słabo wspiérani przez tylne swe szeregi, przymuszeni są do odwrotu, i znowu wszystko w trawę zapada. Naprzeciw nam na wysokim szczycie skały, zajęła stanowisko grupa z pięciu do sześciu Abasechów złożona; przez posuwanie się linii naszéj, pozostała ona nam z boku, i wystrzałami bardzo niepokoiła kozaków. Pomiędzy tą grupą odznaczał się wysokiego wzrostu, z długą, siwą brodą, bardzo kosztownie ubrany starzec, który prawie za każdym strzałem jednego z naszych na tamten świat posłał, a między innymi także, tuż przy mnie stojącego korneta Kokofa. Postrzegłszy to, daliśmy zaraz do niego ognia. Po kilkakrotném zwinięciu się jego, poznaliśmy dokładnie, że był śmiertelnie ugodzonym; jednakże przyłożył znowu i wymierzył janczarkę, ale téjże samej chwili chwieje się, strzelba leci mu z ręki, on zaś upada na skałę. Stacza się z jednéj na drugą, i zawsze jeszcze o swéj sile staje na nogi, opamiętywa się, łamie swą szablę, i o głaz trzaska swe pistolety, tak dalece, iż tylko kawałki z nich w ręce kozaków się dostają. Nakoniec traci upamiętanie, i z ostatniéj pochyłości pada na grzbiet pomiędzy naszych kozaków. W przeciągu tego czasu, prawie przez całą minutę ani jeden strzał z obu strón nie padł; wszyscy patrzyli osłupiałym wzrokiem na upadającego, heroicznego starca, który wszystkim z rzadkiéj waleczności był znany; byłto sam Ali Charzys!

Zaledwo że starzec padł pomiędzy kozaków, wraz nastąpiła tak wściekle okropna scena, iż jéj opisać niepodobna! Abasechowie wydawszy krzyk okropnie wyjący, który jeszcze dotychczas brzmi przeraźliwie w moich uszach, zarzuciwszy janczarki na plecy i pochwyciwszy ostre szable w wyszczérzone zęby, biorą do rąk z odwiedzionémi kurkami pistolety i rzucają się wściekle na kozaków, którzy przerażeni ogolonémi głowami nieprzyjaciół, gdyż im czapki z głów pospadały, wstecz się cofają. Pięciu lub sześciu Abasechów wyjąc żałośnie, idą jak burza na przebój, podejmują z ziemi poległego swojego bohatéra, a drudzy silném natarciem coraz bardziéj odpiérają naszych. Teraz nie było już czasu do stracenia! Albrand krzyknąwszy: »Za mną dzieci!« wypadł z wąwozu, a tyralijery z grzmiącém swojém hurra rzucili się w tył na nacierającego nieprzyjaciela. Tym widokiem ośmieleni kozacy, znowu naprzód się posunęli; jakoż z obsaczonych niewielu uszło Abasechów. W tymże samym czasie pozabijano także na owém wzgórzu wszystkich towarzyszów poległego dowódzcy, a między nimi jego jedynego syna i jego atalika.*) Od téj chwili powiększéj części poszedł nieprzyjaciel w rozsypkę, a reszta bez litości w pień wyciętą została. Każdy z Abasechów starał się rozsiodłać swego konia, i dla uczynienia go niezdatnym, kaléczył szablą lub sztyletem. Poczém uchodzili w góry. Nito koty darli się raczkiem na strome skały, a rozstawieni strzelcy nasi jeszcze kilku ze skał na

*) Nauczyciela.

dół spuścili, aż nakoniec ucichło strzélanie, a nieprzyjaciele jak wijące osy około gniazda zgromadzili się, na najwyższym szczycie góry w około ciała swojego naczelnika. Nie wielu z nich pozostało; ale i my ponieśliśmy równie niemałą stratę, i opłaciliśmy to zwycięztwo życiem wielu najdzielniejszych kozaków naszych.

Wystrzały z działa rażące tylne szeregi, były przeszkodą, iż Abasechowie na cél nas brać nie mogli, i tylko téj jedynie okoliczności przypisać należy, żeśmy w porównaniu z rannymi, bardzo mało zabitych mieli. Otoczeni kilką set pokaléczonymi końmi Abasechów, wypoczęliśmy przez dwanaście godzin, poczém ruszyliśmy w odwrót bez wszelkiego pokarmu. Wszelka bowiem żywność w tyle pozostała. Spotkaliśmy ją dopiéro we dwa dni później, a tymczasem byliśmy przymuszeni przy dojmującym głodzie, coraz bardziéj ściągać pas w około ciała. Ale mniejsza oto! »Dziękuję wam dzieci!« rzekł jenerał Sass do kozaków, a ci zapomniawszy o wszelkich trudach odrzekli z radością: »Chętnieśmy usłużyli!« Poczém jenerał zwróciwszy się do mnie rzekł: »Spodziéwam się, iż te psy zajadłe nie tak prędko nas nabiegną«, i na tém się tą razą wszystko skończyło. Ale nie na długo! Gdyż niebawem znowu z innéj strony wypadną, a jeźli czujna straż utrzymywaną nie będzie, natenczas wszystko ogniem i mieczem spustoszą! Żadna klęska ich nie zastraszy; walczą oni o swój byt, a przeto o śmierć lub życie! Jednakże waleczny jenerał Sass jest u nich w wielkiém poważaniu. Jednego razu po przegranéj krwawéj potyczce, przysłali doń rycérskim sposobem swych heroldów, którzy mu oznajmili, iż zawsze będą mieli sobie za zaszczyt z tak walecznym mierzyć się jenerałem, byle tylko chciał z nimi walczyć na męzkie siły i równą bronią, a nie brał w pomoc strzelb grubych; tak nazywają działa nasze. Tym sposobem wszystkie dotychczasowe walki nasze były nadaremne!

KOPERNIKA RĘKOPIS W PRADZE:

»De corporum coelestium revolutionibus.«

(Rzecz napisana przez uczonego Dr. Amerlinga, umieszczona w piśmie praskiem *Kwěty*, w Dodatku Nro. XVI. z dnia 6. sierpnia 1840. *)

Któżby z Prażanów, lub odwidzających naszę starożytną Pragę, nie znał pałacu Nostyckiego na Małéj Stronie, gdzie się znajduje tak znaczny zbiór różnych starożytnych posągów greckich i rzymskich; gdzie mnóstwo szacownych obrazów napełnia sale i przedsienia drugiego piętra; gdzie ze szczególnéj wspaniałomyślności szanownego właściciela, przeznaczone są jego własne pokoje, aby w nich ucznie tutejszéj malarskiéj akademii kopiowali znajdujące się znaczniejsze obrazy, i te licznie są odwidzane; gdzie zebrana jest znaczna ilość chińskich narzędzi i sprzętów, także wykopanych starożytności z Pompei. — W tymże Nostyckim pałacu znajduje się także wyborny i liczny księgozbiór, którego przejrzenie i uporządkowanie p. Dr. Hillardtowi niedawno powierzono. — Już w nim dwa niezwyczajne i ważne przedmioty odkryto. Piérwszy jest to przylepiony kawał pargaminu, znaleziony na powiérzchnéj deskowéj oprawie staréj księgi łacińskiego papiérowego rękopisu. Zawiéra w sobie tento pargaminowy rękopis istotne publiczne świadectwo, jakie (święty) Jan Nepomucki Dubowi z Hassenburku wydał. — Pismo i liczba roku (1391) są czytelne, a rzecz łacińska tak się zaczyna: *„Joannes de Pomuk, decretorum doctor, archidiaconus."* i t. d.

Obszérniejszą o tém wiadomość podamy jak najśpieszniéj, po zupełném przeczytaniu i dokładnéj rozwadze, ponieważ znani nam są dwaj Janowie tegoż nazwiska, jeden starszy (istotny święty Jan) a drugi młodszy, któremu bez pochyby, jak to rok okazuje, ten rękopis przypisać należy. Pan Hanka zaiste najlepiéj nas o tém objaśni.

Drugi nader ważny, zachowany w tymże Nostyckim księgozbiorze rękopis, jest autografem znanego światu drukowanego dzieła Kopernika, które stanowi główną i najważniejszą epokę umiejętności gwiazdarskiéj. Rękopis ten papiérowy jest w małém *folio*; pismo do zadziwienia wszędzie jednakowe i dosyć dobre, głoski są jak najprostsze, bez wszelkich ogoniastych wybiegów i pisarskich ozdóbek. Zgadza się on zupełnie z piérwszém norymberskiém wydaniem Kopernika, tylko że przemowa do Papiéża w druku jest opuszczona. Wszystkie skréślenia, czyli rysowane gwiazdarskie figury, są starannie rysowniczém żelaznem piórem wyko-

*) W tymże dodatku do *Kwiatów*, umieszczona jest także wiadomość o panu Józefie Ignacym Kraszewskim, przez Jacka Kulesz z Żytomiérza do *Lwowianina* podana, a przez p. Zapa przeczeszczona. Niemniéj wypis z listu pisanego do p. Wacława Hanki przez A.... *»O porównaniu języka polskiego z innémi sławiańskiemi«*; w któréj to treści wiele innych pism przez A.... podanych, a w poprzedniczych numerach *Kwiatów* umieszczonych było. Wiadomo powszechnie, kto jest ów mąż gorliwy, co się u nas literą A.... już od tak dawna podpisuje. (Przyp. Redakcyi.)

nione, a tytuły i początkowe słowa są czerwono wypisane. Ważne są w tym rękopisie własnoręczne poprawki tego wielkiego męża. Wiémy, że niedługo przed śmiercią wydał tenże swoje dzieło, a trzykroć więcej czasu na poprawienie i wypracowanie onegoż poświęcał, niżli Horacy swojém: »*Nonum prematur in annum*« zażądał.

Na początku drobne tylko znajdują się poprawki, ale ciém dalej, tém są znaczniejsze; zaś ku końcu są w połowie i całe nawet strony poprzekreślane, a na odgiętej krawędzi, są inne myśli popisane. Tablice rachunkowe, Kopernik po kilkakroć przeglądał, obliczał i poprawiał; wielu rzeczy znajdujących się w drukowaném dziele, nié ma w rękopisie; były bez wątpienia drukującemu osobno posyłane. Z mierniczych figur jest tylko jedna przekreślona, co okazuje niemałą Kopernika pewność we względzie miernictwa.

Co w naszym Koperniku najwięcej podziwiać nam należy, jest to: że wszystkie swoje wynalazki tylko własnémi oczyma, bez pomocy powiększających skieł i dalowidów odkrył i zdziałał, ponieważ za jego czasu, te nie były jeszcze odkryte. Takto myśl wielka przenika wszystkie siedm pieczęci Przyrody!

Rękopis pomieniony kupili przodkowie hrab. Nostyca, od pewnéj wdowy (zapewne potomkini spadkobierców Kopernika).

Przytém zachowuje ten bogaty księgozbiór mnóstwo jeszcze rękopisów, a między innémi jeden arabski. Gdyby też jaka oprawy deska dokończyła nam: »*Sąd Libussy*«, albo jaka niespodziéwana kryjówka dopełniła »*Kralodworsky rukopis!*« Nadzieja w tém błogo się do nas uśmiécha; da Bóg, że gorliwemu i starannemu p. Dr. Hillardtowi powiedzie się jeszcze co odkryć, ponieważ poszukiwania dopiero rozpoczął. (Pożądaną byłoby rzeczą, gdyby p. Dr. Hillardt za pomocą hr. Nostyca wydał w podobiźnie (*fac simile*) tę przemowę do Papieża, która w druku opuszczoną została; boby z niej dopiero przekonać się można: czyli ten rękopis jest własnoręczny Kopernika, porównywając go z własnoręcznemi tegoż listami, znajdującemi się z własną jego pieczęcią: przedstawiającą Apolina z lutnią.)

A....—

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 33. i obejmuje: 1) O własnościach fizycznych i chemicznych części składowych gruntu. (Ciąg dalszy.) 2) Sposób pomnożenia piękności i dobroci owoców w sadach. 3) Pożytek z posmarowania drzew owocowych wapiennym rozciekiem. 4) Ulepszenie w fabrykacyi cukru. 5) Porównanie kosztów fabrykacyi cukru z buraków względem kosztów fabrykacyi z trzciny w krajach pod równikiem położonych. 6) Sposób robienia chleba z kartofli, podług podania p. Bourdou d'Aiguisy. 7) Wiadomości czasowe.

Gazette de France, a za nią Rozmaitości, w przeszłym Numerze 34tym doniosły: że Papież dwa arcydzieła starożytnej rzeźby: Apolina Belwederskiego i Wenus Medycejska, sprzedał Cesarzowi Rossyjskiemu, za dziewięć milijonów franków; co oczywistą jest bajeczka: bo Wenus Medycejska, wcale nie w Rzymie, ale we Florencyi się znajduje. A....

Wuk Stefanowicz Karadzicz, zajmuje się nową edycyją swych narodowych pieśni serbskich.—Tom I. już się drukuje w Wiédniu, w księgotłoczni klasztornej Ormiańskiéj—i wyjdzie wkrótce z pod prasy. W tém dziele, oprócz piosnek, których 3 tomy wyszły w Lipsku (1823—1824) a czwarty w Wiédniu (1833), mieścić się będzie nowy zbiór (400 pieśni zawierający) nigdzie jeszcze niedrukowany. Wydanie, ze trzech obszernych tomów-złożone, uskutecznioném zostanie na pięknym welinowym papierze. Tom pierwszy zawiéra piosnki kobiet; drugi bohatérskie (junackie) starożytne; trzeci z czasów nowszych, to jest z panowania tureckiego w Serbii.

Farbowanie kokonów jedwabnych. Niedawnémi czasy nadmieniano w pismach publicznych, o pewnym sposobie farbowania jedwabiu w ciele robaczka jedwabnego, któryto środek we Włoszech odkryć miano. Pan Bonnafous, korespondent paryskiéj akademii umiejętności i gorliwy rozkrzewiciel jedwabnictwa, doniósł teraz listownie uczonym członkom tejże akademii, iż się mu powiodło odkryć sposób, którym to farbowanie się uskutecznia. Wiadomo, iż Chińczykowie dla nadania większej białości jedwabiu, posypują bardzo delikatną mąką ryżową liście, któremi swoje robaczki karmią. Włosi więc wpadli niedawno na myśl posypywania morwowych liści substancyją *indygo* albo marzanną, i tym sposobem powiodło się im uzyskać zupełnie błękitne i różowe oprzędy, któreto postępowanie piérwsi wynalazcy z taką troskliwością taili.

Ogień w krajach podzwrotnikowych. Z pewnego opisu podróży, odbytej po Wyspach Malajskich i morza Południowego, z zadziwieniem dowiadujemy się, iż ogień w okolicach tamecznych w wielorakim względzie ma nierównie mniejszą dzielność i siłę niż w krajach zimnych lub umiarkowanych. I tak żeglarze żalą się, że wszystkie narzędzia żelazne, mianowicie kotwice, tamże kowane, nietrwałe są i bardzo łatwo się kruszą. Następnie mówią, że suche drzewo z trudnością chwyta ogień, a zielonego prawie całkiem zapalić niepodobna; że piorun uderza często w stare, spruchniałe drzewa, tudzież w chaty, które na wyspie Jawie z lekkiego suchego drzewa zbudowane, bambusem, lub suchą morską trrawą są pokryte; lecz bardzo rzadko zdarzają się przypadki, aby piorun zapalił, i pożar do przyległych budynków zaniósł. Jakże teraz wytłumaczymy sobie to zjawisko? Oto całkiem po prostu, ponieważ kwasoród, który tak naszym jak i ognia jedynym jest żywiołem, w tamtejszéj atmosferze daleko się w mniejszéj ilości niżli w naszej znajduje. Ztąd wyjaśnia się także i to, dla czego Europejczyk za dłuższym swym pobytem w krajach podzwrotnikowych, rumieniec na licach traci, a to dla tego, że kwasoród nadaje czerwoności krwi naszéj; a niedostatek jego bladością się odznacza.

Grób Napoleona. Mieszkańcy wyspy Świętéj Heleny są wielkimi wielbicielami tego grobu, ale nie jako historycznéj pamiątki albo z uszanowania dla zwłók Cesarza, lecz jako źródła zarobku i z przywiązania do podróżnych, których znaczna ilość z tego powodu corocznie do nich uczęszcza. Mówią oni z takiém uniesieniem o tym grobie, jak mieszkańcy okolic krynicznych o swoich źródłach uzdrawiających, albo jak krawcy i rękawicznicy w Getyndze, Hejdelbergu, Jenie i t. d. o swojéj *alma mater*, to jest: matce nauk, akademii. Dla tego téż ich niemały strach ogarnie, gdy się dowiedzą, że Anglija zwłoki tego wielkiego męża Francuzom oddaje. Anglija okazała się wspaniałomyślna — na koszt ubogich mieszkańców wyspy Śtej Heleny. Od 1go stycznia do 15go maja b. r., zawinęło tam niemniej jak 350 statków różnych narodów, a to nie dla zaopatrzenia się w żywność, gdyż na tej wyspie, wyjąwszy jednę wodę, wszystko jest bardzo drogie, lecz ponieważ wszyscy podróżni to wylądowanie sobie zastrzegli,

żaden z nich nie chce pominąć wyspy, aby nie widział grobu Napoleona. Ale za to upodobanie tak dobrze jak za każde inne, porządnie zapłacić musi. Obliczono, iż do téj skalistéj wyspy, z powodu spoczywających na niéj zwłok bohatera, corocznie milijon franków wpływało. Umieszczamy tu dokładnie wyszczególnienie kwoty, jaką opłacał każdy podróżny, który pół dnia w Longwoodzie a przez noc w James-Town zabawił: Za pomieszkanie i jedzenie w gościnnym domu pana Salomon 25 franków; za podróż do Langwoodu 25 frank.; za konduktora albo woźnicę 2 frank. 50 cent.; za wstęp do pokojów w Longwoodzie 2 frank. 50 cent.; za pozwolenie napicia się wody ze źródła šklanką Napoleona, stróżowi grobu 2 frank. 50 cent. W ogóle 57 franków 50 centymów. Tyle płaci każdy z ciekawych podróżnych, nie licząc w to jeszcze innych nieprzewidzianych wydatków.

Honoraryja dziennikarzy Paryzkich. Główni redaktorowie paryzkich dzienników, które od publiczności najbardziéj są czytane, pobiérają 30,000 franków pensyi rocznéj, a każdy spółpracownik otrzymuje za każdy wiérsz 30 do 50 centymów. Za każdy artykuł *Leading*, płaci *Journal des Debats* 100 do 150 franków. Jules Janin jako krytyk teatru, pobiéra rocznie za artykuł tygodniowy 15,000 franków, a prócz tego redakcyja dziennika wytworną karyjolkę dla niego trzymać musi. Atoli spółpracownicy tych dzienników, umieją powiększéj części innemi sposobami napełniać swe sakiewki; autorowie, artyści muszą im znaczny opłacać haracz, panuje tam to istotne hasło: *La bourse ou la vie!* bo który z nich w tym małym świecie, jaki Paryżem zowią, nie życzy sobie moralnie być zabitym, ten koniecznie zapłacić musi. Przytaczamy w téj mierze następującą anegdotę. Skoro śpiéwak Nourrit, jak wiadomo, nieszczęśliwym sposobem zakończył swoje życie, już na drugi dzień z-rana przedstawił się panu Duprez, jego następcy, wydawca krytycznego dziennika, który po wzajemnych przywitaniach się oświadczył, że mu Nourrit rocznie 2000 franków płacił. Redaktor nie mógł się dość nachwalić nieboszczyka, a Duprez skłonił się nakoniec do płacenia mu rocznie połowy rzeczonéj kwoty. »*Bien, Monsieur*«, odrzekł redaktor wzruszając ramionami, »*mais parole d'honneur, j'y perds mille francs.*«

Tytuł barona był dawnych czasów we Francyi w tak wielkiém poważaniu, iż z nabożnego uwielbienia nawet go Świętym nadawano. »Złożyła ona«, mówi Froissard o pewnéj osobie, »przed błogosławioném ciałem barona Jakóba śluby swoje.«

Literackie *autodafe.* Pewien francuzki miłośnik ksiąg starożytnych, wrócił niedawno z trzechletniéj podróży po Niemczech, Szwajcaryi i Włoszech, z wielkim tryjumfem do swéj rodziny w Paryżu. »Kochana żono«, rzekł z uniesieniem, »już cię odtąd moja Penelopę nie opuszczę. Twój Ulisses znalazł to, czego szukał.« To rzekłszy, otworzył mocno żelazem okuty i trzema zamkami zaopatrzony kufer, z którego wyjął z radosną miną mały, stary, pobrukany, w poszarpanéj oprawie szpargał, i pokazując go swojéj żonie, rzekł: »Oto jest skarb, dla nabycia którego prawie po całym świecie się włóczyłem. Lecz nie żałuję mego trudu; gdyż moje starania skutek sowicie wynagrodził. Widzisz tę książkę? Cóż ty na to powiész, tego klejnotu nabyłem za sto luidorów.« To rzekłszy przystąpił do komina i stary szpargał rzucił w ogień. Co widząc żona, załamała ręce z przestrachu; on zaś z uśmiechem rzekł na to: »Moje dziécię, czy sądzisz żem oszalał? Teraz dopiéro, gdy już książka spłonęła, powiedzieć mogę, żem bardzo dobrze na tém wyszedł. Spojrzéj do bibljoteki mojéj w prawą stronę, na trzeciéj półce znajdziesz zupełnie taką samę książkę, jakąm dopiero spalił. Kosztownego dzieła tego nie było już tylko dwa egzemplarze na świecie, każdy z nich wart był sto luidorów; teraz gdy już tylko jeden pozostał, ileż za niego żądać nie mogę!« Tak zaciekłych biblijomanów nie mało jest na świecie, wszyscy zapaleni miłośnicy rzadkich przedmiotów są im podobni. Tym sposobem nie mało książek popalono i niemało medalów stopiono! Zawistna namiętność nie ma upodobania w rzeczy, którą drugi posiada, chciałaby ona wyłącznie sama tylko rzadki mieć egzemplarz.

Okropne zdarzenie. Dnia 19go czerwca r. b. wydarzył się w Paryżu straszny wypadek. Pan C....., majętny kupiec zbankrutował, i był przymuszony przyjąć służbę czeladnika w pewnym domu handlowym. Małżonka jego miała czworo dzieci, i martwiła się tém do żywego, że im tak świetnego wychowania dać nie mogła, jakie sama w domu swoich rodziców otrzymała. Udała się w téj mierze do swego ojca, który w lepszych znajdował się okolicznościach i prosiła go, aby przynajmniéj szesnastoletnią jéj córkę na pensyi umieścił; lecz ten nie przychylił się do jéj prośby utrzymując, iż dzieciom, którym rodzice nie zostawią majątku, proste wychowanie dawać wypada, a mianowicie córce, wyższego nad stan wychowania dawać nie należy: ponieważ jéj bracia mający już po kilkanaście lat niczém innym być nie mogą, jak tylko prostymi rzemieślnikami. Stanowcze odmówienie to zraniło boleśnie serce dumnéj matki, nie mogła ona pojąć tego rozsądnego zdania. Tego samego dnia, gdy mąż jéj wyszedł z domu, uspiła swoje dzieci, napisała kilka listów, a potém wszedłszy do sypialnego pokoju, zamknęła szczelnie drzwi i okna, rozżarzyła węgle i wyziewem ich udusiła się razem z czworgiem dzieci. Nieszczęśliwy małżonek powrócił aż nazajutrz, lecz jak okropny spotkał go widok, — pięć najmilszych mu osób zastał już bez życia! Listy, które pozostawiła małżonka, wyjaśniły dokładnie wyżéj nadmienione tego czynu powody.

Popiersie Klebera i grenadyjer. Następujący wypadek, który się podczas wzniesienia pomnika dla Klebera w Strasburgu wydarzył, przedstawia nadzwyczajną i tkliwą scenę: Pewien stary grenadyjer rozpłakał się, gdy mu po przed ten posąg defilować wypadło. Zapytany o przyczynę swojego płaczu odrzekł: »Będąc jeszcze jako mały chłopiec doboszem w Kairze, bębniłem w oznakę żalu, gdy jego wnętrzności chowano; późniéj zwłoki jego w Francyi pogrzebałem; w Strasburgu dawałem ognia w plutonie, gdy popioły jego w podziemném sklepieniu katedry złożono, a teraz znowu salutuję posąg jego; zdaje się mi, jak gdybym go cztery razy pogrzebał.«

Magnetyzowany Scribe. Pewien dziennik paryski umieścił niedawno żart następujący: »Zdaje się, iż magnetyzm *furore* sprawiać zaczyna. Opowiadają w téj mierze nadzwyczajny przykład w swoim rodzaju. Pan Scribe, autor niezliczonych komedyj i waudewillów, magnetyzować się kazał. Powróciwszy do swego normalnego stanu po śnie, który trwał przez trzy godziny, jakże się nie zdziwił, gdy stojące w około niego osoby doręczyły mu całą komedyję, którą w czasie magnetycznego snu skomponował. Osoby te były tak przezorne, iż przy łóżku jego umieściły stenografa, a p. Scribe podyktował mu sztukę, do któréj, jak późniéj sam się przyznał, już od kilku dni plan miał w głowie.«

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.